

Bez wzmocnienia Polski nie wystarczy nawet najlepsze ułożenie sojuszy



DR WITOLD SOKAŁA

Uniwersytet Jana Kochanowskiego w Kielcach, Dziennik Gazeta Prawna

Świat przyspiesza, a dotychczasowe filary polskiej polityki zagranicznej chwieją się pod naporem nowych napięć między USA, Europą i rosnącymi ambicjami Chin. Wybór „właściwego obozu” przestaje być gwarancją bezpieczeństwa i rozwoju, jeśli nie towarzyszy mu budowa własnej siły – militarnej, gospodarczej, instytucjonalnej i intelektualnej. Pytanie nie brzmi więc, komu zaufać, lecz czy potrafimy wzmocnić państwo na tyle, by w każdej konfiguracji pozostać podmiotem, a nie przedmiotem gry silniejszych.

Przełamać wewnętrzne słabości

Różnice polityczne pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a naszymi głównymi partnerami europejskimi pojawiały się w przeszłości wielokrotnie. Nigdy jednak nie przybrały tak ostrej formy i nie dotyczyły kwestii tak fundamentalnych jak obecnie. To rodzi pokusę odejścia od zasady, że bardziej niż wybierać „między tatusiem a mamusią” opłaca się maksymalizować korzyści ze współpracy z obojgiem (skądinąd racjonalnej reguły, która przez ostatnie dekady dobrze służyła polskiej racji stanu). Wzmacnia tę pokusę silna polaryzacja wewnętrzna, a także rosnące emocjonalne zaangażowanie wyborców w sprawy polityki zagranicznej i bezpieczeństwa. Tym łatwiej łamać więc stary konsensus i wykorzystywać kwestie

natury strategicznej do celów bieżącej taktyki partyjnej. Radośnie korzystają z tego partyjni spin doktorzy, a także sami liderzy niemal wszystkich opcji, nie zważając na szkody dla interesów państwa, które przy tej okazji powstają.

Owszem – pada argument, że największe korzyści odniosą ci, którzy najwcześniej wybiorą właściwy obóz, bo wobec kolejnych chętnych będą mogli odgrywać rolę współgospodarza, a ponadto zasłużą na szczególne względy głównych centrów decyzyjnych. Ale niestety, we współczesnych warunkach, czyli w polityce coraz bardziej egoistycznej, opartej na sile i brutalnym egzekwowaniu własnych interesów, odchodzącej od nawet nieśmiałyłch czy pozorowanych prób organizowania gry

W świecie, w którym liczy się przede wszystkim siła i twarde interesy, największym zagrożeniem nie jest brak jednoznacznego wyboru sojusznika, lecz wewnętrzna słabość i rozbieżność własnego państwa dla doraźnych celów politycznych.

o sumie niezerowej, te nadzieje zapewne okażą się płonne. Jak uczą liczne doświadczenia historyczne, zwłaszcza te z epok dominacji równie cynicznych i brutalnych reguł, w polityce nie ma wdzięczności silniejszych ani przewag wynikających z sympatii czy docenienia przeszłych, słusznych wyborów. Liczy się tylko aktualna siła, ewentualnie jej prognoza na najbliższą przyszłość, oraz dobra, które można zaoferować kontrpartnerom w handlu wymiennym – zarówno te natury czysto ekonomicznej, jak i niematerialnej, na przykład zdolność gwarantowania bezpieczeństwa.

Opcja chińska?

Polska tymczasem staje pomiędzy marzeniem o byciu „drugim Izraelem” (czyli szczególnie istotnym sojusznikiem USA we wrogim otoczeniu) a wizjami współtworzenia „imperium Europa” (siłą rzeczy konkurencyjnego względem Stanów Zjednoczonych). Zanim ocenimy szanse i uwarunkowania obu wariantów, wypada przestrzec, że istnieje i trzeci – wylądowanie w rosyjskiej strefie wpływów.

Co prawda w obliczu militarnej kompromitacji Rosji, ograniczenia jej długofalowych szans rozwojowych wskutek strat wojennych i sankcji, a także głębokiego kryzysu ekonomicznego, taki scenariusz może się dziś wydawać

absurdalny. Niemniej nie należy lekceważyć dwóch elementów: zbrojeckiej konsekwencji i determinacji samej Rosji w dziele rozbudowy swych nieformalnych wpływów w naszym regionie, pomimo relatywnej słabości państwa rosyjskiego, a także zaplecza w postaci Chińskiej Republiki Ludowej. Rosja stała się już faktycznie wasalem Pekinu, a ten może w ramach własnej strategii globalnej przydzielać jej do wykonania różne role. Na przykład rolę zarządcy grupy krajów europejskich, które ostatecznie wybiorą „opcję chińską”. Rosyjski pośrednik byłby dla Pekinu bardzo wygodny, bo z racji doświadczeń i know-how lepiej radzi sobie w tutejszym terenie, a co najważniejsze – pozwalałby Chińczykom nie odpowiadać politycznie za niezbędne, acz niepopularne działania dyscyplinujące. Zresztą nawet gdyby Chiny postanowiły bezpośrednio zarządzać regionem, skutki dla naszych interesów – zbiorowych i indywidualnych – byłyby podobnie opłakane, poczynając od drastycznego ograniczenia swobód obywatelskich po zaprzepaszczenie szans rozwojowych.

Scenariusz powstania chińskiej strefy wpływów w Europie Wschodniej i Środkowej jest zdecydowanie niekorzystny dla USA – i należy zakładać, że Amerykanie będą mu przeciwdziałać. Problem w tym, że niezależnie od naszych planów i nadziei, Amerykanom może się to nie udać, choćby z tego powodu, że popełniają seryjne błędy wzmacniające w regionie nastroje (a wręcz fobie) antyamerykańskie. Na razie skutkuje to wzrostem popularności opcji europejskiej, ale tu pojawia się kolejne niebezpieczeństwo – owa opcja jest na razie mocno teoretyczna i potencjalna. W praktyce może się więc

okazać, że nie zbuduje wystarczającej siły do zabezpieczenia naszego regionu, a nawet do zachowania realnej suwerenności całego Starego Kontynentu wobec hegemonia chińskiego. Tym bardziej że wielu europejskich polityków i myślicieli politycznych już igra z ogniem, próbując poszukiwać w Pekinie – poprzez otwieranie naszych państw na chińską ekspansję ekonomiczną, technologiczną, a w konsekwencji także polityczną – sposobu na utarcie nosa Amerykanom. Od pewnego punktu odwrót z tej drogi może okazać się niemożliwy.

Między Waszyngtonem a Brukselą istnieje jeszcze trzecia droga dla Europy Środkowej i Wschodniej – dryf w stronę układu chińsko-rosyjskiego. Ten scenariusz byłby najprawdopodobniej najbardziej kosztowny, bo prowadziłby do utraty nie tylko wpływu, lecz także realnej suwerenności.

Problem z Europą

Oprócz tego ryzyka opcja nazwana umownie „europejską” ma dla Polski także inne minusy, na które warto zwrócić uwagę. I to na dwóch płaszczyznach.

Pierwsza to generalna słabość europejskiego modelu rozwojowego, powodująca kłopoty w globalnym wyścigu z USA, a pod pewnymi względami także z ChRL. Model ten, wykształcony z niegdysiejszego „kapitalizmu reńskiego”, w zakresie finansowania nowych inwestycji opiera się na przekonaniu o przewadze kredytu bankowego (a ostatnio wręcz dotacji publicznych) nad giełdą. Jest więc mniej podatny na szybką, rynkową

weryfikację podejmowanych decyzji. Do tego dochodzi znaczne skrępowanie procedurami biurokratycznymi, a także względna łatwość podporządkowywania interesów ekonomicznych doraźnym celom politycznym i propagandowym (czasem podlanym sosem nielegalnego lobbingu). Dalej – zbiurokratyzowany model edukacji, który w imię skądinąd szlachetnych ideałów egalitarystycznych faktycznie premiuje przeciętność i działania pozorne, a więc marnotrawi potencjał intelektualny i rozwojowy kolejnych pokoleń najzdolniejszych Europejczyków. Ergo – wkomponowanie się w hipotetyczne „imperium Europa”, o ile nie zmieni ono fundamentalnie zasad swego działania oraz priorytetów, może okazać się dla Polski wyborem cywilizacyjnie nieatrakcyjnym, z pewnością zamykającym ścieżki najszybszego rozwoju, a być może nawet prowadzącym stopniowo ku regresowi.

Po drugie, nawet w ramach tego projektu, zarządzanego przez coraz słabszych liderów, nieradzących sobie z wieloma wewnętrznymi problemami, Polska może mieć trudności z egzekwowaniem swoich interesów. „Na papierze” jesteśmy co prawda mocnym krajem średniej wielkości, ale deficyty naszej kultury politycznej (najogólniej nazywając to zjawisko) sprawiają, że nie wykorzystujemy w grze europejskiej swoich atutów. Innymi słowy – wasalizujemy się dobrowolnie, na przykład poprzez bezrefleksyjną akceptację narracji korzystnych wyłącznie dla kontrpartnerów europejskich. Od lat nie potrafimy zadbać o znaczącą obecność odpowiednio wyszkolonych (i celowo zadaniowanych z Warszawy) polskich urzędników, ekspertów i lobbystów

w strukturach wspólnotowych, o właściwe rozpoznanie wyzwań i aktywne wpływanie na kierunki oraz ton ważnych debat w przestrzeni europejskiej – zarówno na poziomie unijnym, jak i poszczególnych państw.

Bez gruntownej zmiany sposobu uprawiania polityki i wzmocnienia własnych instytucji, „opcja europejska” może oznaczać nie awans ku centrum, lecz utrwalenie peryferyjności w ramach coraz słabszego projektu.

Słowem – wciąż nie umiemy „robić polityki” tak, jak robi się ją w Europie. Przy czym, dla jasności: słynne „wstawanie z kolan” (połączone z nabiciem sobie guza o parapet) zdecydowanie nie było właściwą receptą na poprawę sytuacji.

Zastrzyk sceptycyzmu

Powyższe nie oznacza, że mamy z opcji europejskiej z góry rezygnować. Ma ona szereg oczywistych zalet. Ale do jej zwolenników warto apelować, by zachowali cierpliwość i zdrowy sceptycyzm. Już niebawem wybory we Francji i w Niemczech, które mogą drastycznie zmienić jej perspektywę. Zwolennicy opcji europejskiej nie mogą też ograniczać się do prostego „wybieramy Brukselę (ewentualnie: Berlin i Paryż) zamiast Waszyngtonu”. W pakiecie musi znaleźć się również: „...i pilnie projektujemy oraz budujemy lepsze narzędzia wywierania wpływu na europejskie ośrodki decyzyjne”.

Część z tych narzędzi musi mieć charakter narodowy, część zaś powinna opierać się na synergii, czyli zwiększaniu zdolności do współpracy z innymi państwami średnimi

i małymi. W pierwszym rządzie z sąsiadami, zwłaszcza z regionu bałtyckiego, bo łączy nas solidarność w obliczu rosyjskiego zagrożenia. Nie należy jednak lekceważyć zdolności do budowania doraźnych, celowych koalicji z innymi, bardzo różnymi partnerami – zarówno na poziomie państw narodowych, jak i europejskich grup politycznych czy mniej jawnych grup interesów. Bez tego grozi nam los „peryferii w ramach peryferii”, a w konsekwencji narastanie zbiorowych frustracji, dalszy rozwój destrukcyjnych populizmów i przybliżenie scenariusza „chińskiego” lub „chińsko-rosyjskiego”. Zaiste, byłoby to klasyczne „odmrożenie sobie uszu na złość babci”, zawinione przez cynizm, oportunizm i brak wyobraźni znacznej części klasy politycznej.

Zauważmy przy tym, że „opcja amerykańska” – choć niewątpliwie atrakcyjna z uwagi na militarne, ekonomiczne i technologiczne przewagi USA nad resztą świata – również niesie ze sobą oczywiste ryzyka. Nie ma tu nawet cienia szansy na podmiotowość. Ekipa Donalda Trumpa nie pozostawia co do tego złudzeń, słowem i czynem, ale po ewentualnych następcach, nawet demokratycznych, także nie należy spodziewać się polityki innej co do treści – najwyżej co do formy. Świat zmienił się raczej nieodwracalnie i żaden rząd amerykański w przewidywalnej przyszłości nie będzie wyciągał za nas kasztanów z ognia wbrew interesom i nastrojom elektoratu w USA, a tym bardziej wbrew interesom amerykańskich inwestorów. Żadna kolejna administracja nie będzie kierować się w swej polityce zagranicznej szczytnymi ideałami; przeciwnie – zapewne każda będzie coraz bardziej uległa wobec nowych centrów realnej władzy, związanych z big techami, kompleksem

energetyczno-militarnym oraz drapieżnymi segmentami rynków finansowych. Władza ta wykracza zresztą poza same Stany Zjednoczone i obejmuje kosmopolitycznych miliarderów, niekoniecznie na co dzień posługujących się angielszczyzną. Rolą prezydenta USA stanie się zaś uzgadnianie i ochrona globalnych interesów tej warstwy nowych panów świata poprzez dyscyplinowanie lokalnych rządów.

Sama deklaracja wyboru „Brukseli” czy „Waszyngtonu” nie zastąpi budowy własnych narzędzi wpływu – bez nich każda opcja grozi sprowadzeniem Polski do roli peryferyjnego wykonawcy cudzych interesów.

Dla części naszej elity politycznej, paradoksalnie, byłaby to sytuacja wygodna – łatwiej odnaleźć się w roli usłużnego wasala, który ma jednego pana i jasne reguły do realizacji, zadowolając się „paciorkami” ze strony waszyngtońskiego hegemonu, niż na co dzień mierzyć się ze skomplikowanymi relacjami między licznymi węzłami władzy i wpływu w Europie. Tyle że niekoniecznie jest to droga do świetlanej przyszłości. A na pewno nie dla wszystkich – co najwyżej dla tych, którzy zdołają załapać się do uprzywilejowanej, kompradorskiej kasty biznesowo-polityczno-urzędniczo-wojskowo-medialnej, pilnującej nad Wisłą cudzych interesów. I to zapewne tylko na jakiś czas.

Edukacja, dyplomacja, wywiad

Tak naprawdę bierne podporządkowanie się zarówno Stanom Zjednoczonym, jak i Unii Europejskiej (w której hegemoniczną rolę nadal odgrywaliby winowajcy jej

obecnych deficytów) prowadzi nas różnymi drogami ku bardzo podobnym skutkom. Ku zaprzepaszczeniu dorobku ostatnich dekad, a także szansy na wyjście z roli semiperyferii, na cywilizacyjne i ekonomiczne gonienie najlepszych oraz na względnie trwałe bezpieczeństwo. W tej sytuacji suflowana recepta brzmi: wykorzystajmy resztkę danego nam przez los i historię czasu, by bardziej intensywnie niż dotychczas wzmocnić własny potencjał – bo wtedy w dowolne aliance zewnętrzne wejdziemy na znacznie lepszych warunkach.

Obejmuje to oczywisty postulat rozbudowy własnych zdolności wojskowych (ale uwaga: nie tych „defiladowych”, lecz związanych z realnymi potrzebami przyszłego pola walki). Także – warunkujących je w dużej mierze – zdolności technologicznych. Ale nie lekceważmy innych czynników, do których Rzeczpospolita jakoś dotychczas nie miała szczęścia.

Na przykład jakościowej edukacji, promującej najlepszych, a nie zmuszającej ich do równania w dół (żeby słabszym nie było przykro). Sprawnej administracji (w tym dyplomacji): fachowej, apartyjnej (a zarazem mającej przywilej ciągłości pracy bez względu na polityczne zawirowania) i opłacanej tak, by była atrakcyjnym miejscem realizowania aspiracji przez najlepszych absolwentów. Profesjonalnych – i funkcjonujących w ramach celowo zarządzanego oraz wspieranego systemu – lobbystów sprawy polskiej za granicą (od urzędników unijnych po niezależnych artystów). Zaplecza eksperckiego, które ma warunki, by mówić decydentom niekoniecznie tylko to, co chcą usłyszeć. Mądrze zaprojektowanej otwartości na napływ

świeżej krwi (czyli błyskotliwych umysłów i pracowitych rąk) z zagranicy, nie tylko z poradzieckiego Wschodu.

O miejscu Polski w świecie nie zdecyduje wybór „właściwego obozu”, lecz jakość własnego państwa – jego armii, technologii, edukacji, dyplomacji i służb – bo tylko realna siła da nam podmiotowość w każdym układzie sojuszy.

Last but not least – kwestia służb specjalnych. W praktyce ostatnich dekad chronicznie niedofinansowanych, źle zorganizowanych i zadaniowanych (łagodnie rzecz ujmując) niezbyt mądrze i niekonsekwentnie. Tymczasem w rodzącym się wokół nas brutalnym świecie „technoglobalizacji”, opartej na sile, ich znaczenie będzie skokowo rosnąć. Zarówno w ofensywie przeciw innym podmiotom, jak i w działaniach defensywnych – bo to one są zdolne bronić nas przed asymetrycznymi formami ataku: kinetycznymi, cybernetycznymi i informacyjnymi, ze strony naszych wrogów (i sojuszników także). Niby nic nowego, przynajmniej dla fachowców, ale gdy współcześnie znaczenie tego tajnego frontu

rośnie, świadomość społeczeństwa i decydentów zdaje się wciąż stać w miejscu. Realną siłą w najbliższych latach będą dysponować ci, którzy owymi spec-narzędziami będą posługiwać się najsprawniej. Przykład Rosji dowodzi, że mistrzostwo w tym zakresie potrafi skutecznie rekompensować deficyty na innych polach. A my nadal co roku wydajemy więcej na różne egzotyczne kaprysy polityków niż na wywiad i kontrwywiad...

To wszystko oznacza, że (znana także z naszej dawniejszej historii) skłonność do sprowadzania polityki zagranicznej i bezpieczeństwa wyłącznie do „zapisania się do właściwej drużyny” generuje skutki samobójcze, niezależnie od tego, która z dostępnych opcji zostanie wybrana. Po prostu bez własnej siły (rozumianej bardzo szeroko) i zdolności jej skutecznego używania w obronie własnych interesów, w każdym z dostępnych układów Polska okaże się nie partnerem, lecz eksploatowanym zasobem. Różne będą co najwyżej dekoracje tego tragicznego *theatrum* i retoryka towarzysząca wydarzeniom. Na szczęście wciąż jeszcze mamy nieco przestrzeni i czasu na podjęcie niezbędnych działań. Otwarte pozostaje natomiast pytanie o wolę i determinację. ■

O AUTORZE

dr **Witold Sokała** – politolog, pracownik naukowo-dydaktyczny Instytutu Stosunków Międzynarodowych i Polityk Publicznych Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach, stały publicysta „Dziennika Gazety Prawnej”. Wcześniej pracował m.in. jako dziennikarz prasowy, radiowy i telewizyjny, menedżer w sektorze prywatnym, urzędnik państwowy i niezależny konsultant. Ukończył studia na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Jagiellońskiego oraz na Wydziale Zarządzania Akademii Górniczo-Hutniczej. Stopień doktora nauk o polityce uzyskał na Wydziale Nauk Społecznych Uniwersytetu Śląskiego.

Partnerzy



SAMORZĄD
WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO

Pomorski Fundusz Rozwoju
sp. z o.o. z siedzibą w Gdańsku



Spółka Samorządu
Województwa Pomorskiego



POLSKO-AMERYKAŃSKA
FUNDACJA WOLNOŚCI

marites
ELECTRONIC COMPONENTS



PFR
Polski Fundusz Rozwoju

Łukasiewicz
Sieć Badawcza

Pomorski Thinkletter

2026 nr 1 (24)

POLSKA WOBEC GEOPOLITYKI SIŁY I TECHNODOMINACJI

OSTRA GRA O NOWY PODZIAŁ ŚWIATA

— ZANIK REGUŁ, ROSNĄCA ROLA SIŁY
I „WEAPONIZACJA” ZALEŻNOŚCI

JAKI MODEL SUWERENNOŚCI DLA POLSKI?

— PRZYFRONTOWEGO PAŃSTWA
EUROPEJSKIEGO ŚREDNIEJ WIELKOŚCI

ADMIN CZY USER

— JAK NAWIGOWAĆ W NOWYM
CYFROWYM ŚWIECIE?

UNIA EUROPEJSKA JAKO MNOŻNIK SIŁY POLSKI

— JAK TO OSIĄGNĄĆ?



POBIERZ CAŁĄ PUBLIKACJĘ

www.kongresobywatelski.pl

